



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## Nieudany połów.

Modrej się fali kryształowe szkiełka  
Błyszczą, zieleni odbijając wianki,  
Czasem na wierzchu srebrzysta perłka  
Wytryśnie, z lekkiej utworzona pianki,  
Gdy woda zwolna o brzeg bijąc, pluśnie.  
Czasami rybka mieniącą się skrzelą  
Pod wierzch wypłynie, fal powierzchnię  
I znowu niknie w głębi pod topielą.  
Chłopię wieśniacze usiadło nad brzegiem,  
Do wędki wabik przyczepia — żer ciska,  
I goni wzrokiem za fal rzecznych biegiem  
W oczach mu chętką zdobyczy połyska.  
Ale daremnie — czas płynie jak woda,  
Ni jednej dotąd rybki na haczyku,  
Trud bez owocu snąc chęci nie doda.  
Żleś się na połów dziś wybrał chłopczyku,  
Rybki zbyt mądre, by iść do przynęty  
Wiedzą, że godzisz na biedne ich życie  
Każda omija ostry haczyk zgięty,



I w fal srebrzyste zagłębia nakrycie.  
Żle się wybrałeś, rzuć brzegi jeziora  
Niech sieć na połów zarzucą rybacy,  
Ty zaś idź w pole, gdzie żniwa jest pora  
Weź się do innej pożytecznej pracy.

Marya S.



L. W. Szczerbowicz.

## ALKAIOS W MOTONIE.

OBRAZEK Z CZASÓW STAROŻYTNICH

GRECYI.

I.

## Rozbitek i Teano.

Ucichła już burza nocna, jedna z tych, które im rzadziej tem z większą gwałtownością nawiedzają szafirowe morza Grecyi. Ciszą zapanowała na powierzchni fal, niedawno szalejących i wzburzonych, swawolne wiatry i wiehry snać zostały już przez swego bożka Eola zapędzone do pieczary sycylijskiej i przywalone tam głazem olbrzymim. Chwilami tylko zrywał się silny podmuch Zefira, który jakby uspokajał, muskając pieszczotliwie, zmęczone burzą fale morskie. Tu i owdzie pędziły jeszcze obok siebie ostatnie bałwany pomniejsze, niby rumaki ogniste, o grzywach powiewnych z biało-śnieżnej piany, twórcza wyobraźnia Hellenów widziała w nich konie zaprzęgu, którym bożek mórz Posejdon przesuwiał się po falach, machając trójzębem, dla ostatecznego zażegnania burzy, oraz poskromienia swawolnej zgrai Trytonów i Nereid, bezkarnie plądrujących z wichrami w zawody.

Zefir, sam jeden pozostawiony na wolności przez Eola, poprzedzał zjawienie się jutrzynki i wschód słońca. Oto już coraz szerszą smugą, coraz wyżej i wyżej rozjaśnia się oddalony widnokrąg, blednie księżyc i gasną gwiazdy; aż wreszcie Eos purpurowa z pochodnią zaranną wypływa z poza białej, skalistej wysepki, umajonej gajem myrtowym, a w ślad za swą wierną poprzedniczką wtacza się na niebios sklepienie złocisty wóz Heliosa, jakby wynurzając się z głębi oceanu — tam daleko, gdzie sinieją zarysy innej jakiejś wyspy. Owa zieleniejąca myrtem wysepka, to Cytera, poświęcona uroczemu dziecięciu piany morskiej, bogini Afrodycie; dalej zaś ostrów, to Delos, kolebka Apollina: nie dziwota więc, że stamtąd właśnie wynurza się na świat słońce poranne. Znajdujemy się bowiem u skalistych, a nagich i niegościnnych wybrzeży Poloponcu.

Na cyplu wyniosłym, nieco mniej stromym i przystępniejszym od innych, tuż nad morzem, siedział mąż poważny w wieku, który jest już jesienią żywota. Szron ubielił mu skronie; troski oraz zawody zorały twarz bronzowo-śniadą i wyniosłe czoło; tylko duże czarne oczy były zawsze jeszcze młode i ogniste, aczkolwiek spojrzenie ich, daleko w przetrzeń skierowane, przysłaniał w tej chwili kir smutku. Musiał być wojownikiem, gdyż okrywała go chlamyda, jaką żołnierze przywdziewali zwykle na zbroję; z pod tego płaszcza widać mu było lekki pancerz assyryjski, a i u boku męża nie brakowało miecza. Głowę miał odkrytą, zapewne zgubił hełm swój albo kapelusz okrągły, jakiego Grecy używali w podróży, wzorem bożka Hermesa. W lewej ręce, na krawędzi skały opartej, wojownik trzymał cytry o siedmiu strunach: widocznie musiał być zarówno gorliwym sługą Aresa, jak ulubieńcem Muz mioudustych.

Długo patrzył mąż poważny na morze, goniąc teraz przy jaskrawych promieniach wschodzącego słońca małą łódkę, przewróconą dnem do góry i kołyszącą się zwolna na uspokojonej tafli morskiej, niby porzucona łupina orzecha. Nareszcie oderwał wzrok swój od tego widoku, westchnął i uderzył w struny cytry. Na pustem wybrzeżu rozległ się śpiew mężki w słodkim narzeczu eolskiem.

Witaj, Eos rumiana! Pozdrawiam cię, synu Latony!

Witan! złocisty twój wóz: przed nim pierzcha już noc,

Hades ponury już po mnie wyciągał swoje ramiona —

Spłoszył Apollo mą śmierć, jeszcze mi zesłał ten dzień.

Zdała od ziemi ojczystej mam pędzić lata wygnania:

Zeus i bogowie tak chcą — przyjmę z pokorą swój los  
O Antimenidasie, o towarzyszu jedyny!

Nie chciał Posejdon byś żył — morską połąkła cię toń.

Tyś szczęśliwszy odemnie: swobody pięknego Lesbosu

Nie przeżyłeś, lecz sam, lecz sam, poszedłeś z nią w grób.

Ja cię uczcić nie mogę pogrzebem ani kurbanem:

Ten pożegnalny więc śpiew w zmarłych krainę ci ślę.

Persefona i Charon niech będą dla ciebie łaskawi —

Oby się cieszył twój duch śród elizejskich pól.

Ostatni wiersz tej smętnej elegii odbijał się głuchem echem od skał nadbrzeżnych. Umilkł śpiewak i przez chwilę kilka siedział zadumany, na swej lutni oparty. Wstał wreszcie i rzuciwszy okiem dokoła, począł wspinać się po śliskiej i stromej ścieżynie w górę, w głąb nieznanego sobie ładu. Na lewo widział małą, okrągłą zatokę, która mogła być portem wygodnym; w około niej sterczały stopy kamieni oraz kilkadziesiąt domków, mniej lub więcej zniszczonych i zrujnowanych; widocznie tu teraz ludzie nie mieszkali. Wprost zieleńiły się tu i owdzie pomiędzy skałami chude łąki oraz kawałki roli uprawnej, ocienione już to kępami szarych karłowatych drzew oliwnych. Wędrowiec spuścił się do ciasnego wąwozu i niebawem stanął u łożyska wartkiego potoku. Chciał ugasić tu pragnienie, ale właśnie młoda dziewczica, podtrzymując na głowie amforę, odchodziła od strumienia.

Ubrana była ubogo, w długą tunikę bez rękawów z grubego domowego materiału, utkanego z szarej, nie farbowanej wełny, spiętą wąskim paskiem czerwonym.

Widok cudzoziemca nie zmieszał dziewicy; powitała go swobodnie zwykłą formułą grzeczności helleńskiej, względem osób starszych wiekiem używaną.

— Witaj, ojcze cudzoziemcze — rzekła dźwięcznym głosem.

— Witaj, córko — odparł przybysz. — Nie odmówisz pewnie wody spragnionemu.

Z uśmiechem nachyliła amforę, a gdy pił, przyglądała się mu ciekawie.

— Dzięki ci, piękna dziewczico — rzekł wędrowiec, ugasiwszy pragnienie. — Czy ty jesteś jedną z nimf, mających zapewne siedlisko w jaskiniach tych skał, czyli też jaką królową, którą bogowie pozwalają mi spotkać, jak niegdyś Nausikę Odysseuszowi, powiedz, gdzie się znajduje?

Dziewczyna roześmiała się, pokazując dwa rzędy białych zębów.

— Nimf u nas nie ma; nie jestem też królową ale biedną, bardzo biedną dziewczyną. Imię moje Teano, córka Damofona. Ojciec powiada, że pochodzimy z rodu Epytosa, który był kiedyś królem tej ziemi, ale dziś ten tytuł byłby wart niewiele...

— Widzisz tedy, piękna Teano, że nie bardzo się myliłem, przypuszczając, żeś królowa i porównyując cię do Nausikai. Ale powiedz, proszę, gdzie jestem?

— Otóż ze mnie roztargniona dziewczyna! Wybacz, gościu, żem nie odpowiedziała na twe pytanie. Znajdujesz się w Messenii: zburzone to miasto nazywa się Motona; panami naszymi są Spartanie. Chata nasza tam na lewo za pagórkami. Czy chcesz pójść ze mną?

— Tak córko; zmuszony jestem szukać gdziekolwiek chwilowego przytułku.

Szli zwolna obok siebie wzdłuż strumienia, kierując się ku pagórkowi, ocienionemu kępą drzew oliwnych.

— Czy to ty gościu, śpiewałeś tak pięknie? — spytała Teano.

— Ja śpiewałem, Teano, ale niestety, wiem, że z latami głos mój, niegdyś może przyjemny, stał się ochryplym i przykrym...

— Zawsze jednak śpiewasz pięknie od mego ojca i chociaż jakoś niezupełnie po naszymu brzmi twoja mowa, rozumiem wszystko.

Bom — Eolczyk, a wyście Dorowie, bracia nasi. O czemże śpiewa twój ojciec?

— Słyszałam od niego i o Odysseuszu i o Nausikaj, o których mówiłeś, gościu; ale najczęściej śpiewa dawne podania messeńskie. Stare to dzieje...

— Nie lubisz starych dziejów, dziewczyno?

— Lubię, lecz lubię także nową a piękną sukienkę, oraz klejnoty, choćby takie tylko, jakie widziałam w Sparcie, bo tam zbyt pięknych szat ani za drogie ozdoby nie wolno używać, nawet kobietom.

— Więc byłeś w Sparcie?

— Zeszłego roku, na pogrzebie króla Leocharesa. Niewiasty i dziewice messeńskie, muszą tam chodzić w takich razach, odziane w suknie czarne.

— Daleko stąd do Sparty?

— Dwa dni drogi.

Postępowali czas jakiś obok siebie w milczeniu. Teano posmutniała i wdychała ukradkiem.

— A ty nie śpiewasz, Teano? — odezwał się wędrowiec.

— Nie, u nas dziewczętom śpiewać nie uchodzi.

— Doprawdy? A to dziwny kraj! Zabraniać śpiewu dziewczętom czy ptaszkom leśnym, to jedno. W moim kraju właśnie dziewczęta najpiękniej śpiewają. Jedna z nich umie układać przesłiczne pieśni, które śpiewacy chętnie powtarzają, roznosząc sławę poetki po świecie całym.

— Jej imię, ojczu?

— Imię jej Psapho, niektórzy wymawiają Safo.

Tak rozmawiając, doszli do chaty Damofona.

(d. c. n.)

Wł. Umiński.

## POGADANKI NAUKOWE.

### III.

#### O oddychaniu.

Oprócz tlenu i azotu w powietrzu znajduje się także cokolwiek kwasu węglanego. Możemy się o tem przekonać, wystawiając w izbie przez dłuższy czas na miseczce czystą wodę wapienną, która w końcu pokrywa się na powierzchni cieniutką błoną kredy.

Skąd bierze się kwas węglany w powietrzu?

Dmuchać się słomką na wodę wapienną w szklance, a dowiecie się zaraz. Woda zmaciła się; kwas węglany wydobywa się więc z naszych piersi wraz z oddechem. Do płuc wciągamy świeże powietrze, zawierające tlen, a wydychamy zepsute, w którym, zamiast tlenu, znajduje się kwas węglany. W ciele naszym odbywa się więc coś podobnego do palenia się; tlen powietrza w płucach łączy się chemicznie z węglem zawartym w krwi i daje ciepło, które rozchodzi się po całym ciele. Skoro oddychanie ustaje po śmierci, zwierzęta i ludzie natychmiast stają się zimnymi, jak i wszystkie przedmioty martwe. Ma się rozumieć, iż łączenie się tlenu z krwią odbywa się pomału, inaczej spalilibyśmy się na podobieństwo węgla w piecu.

O tem, iż krew zawiera węgiel łatwo się przekonać, przypalając ją w naczyniu jakimś przy ogniu.

Człowiek lub zwierzę, przebywając w zamkniętem miejscu, w izbie np. zużywa ciągle ożywczy tlen, zamieniając go na kwas węglany, niezdalny do oddychania. Powietrze w izbie, gdzie się znajduje kilkoro ludzi, jest więc dusznem i niezdrowem. Chcąc uniknąć chorób, które mogą być spowodowane przez oddychanie takim zepsutem powietrzem, należy izbę przewietrzać codziennie. Latem, jest to niepotrzebne, bo otwarte są okna. Zimą jednak trzeba koniecznie choć na krótko odemknąć z rana lufcik, lub uchylić drzwi, żeby na miejsce zepsutego powietrza weszło świeże. Gdyby

ludzie zawsze pamiętali o tem, to napewno mniej by chorowali, aniżeli obecnie.

Gdzie się podziewa w powietrzu kwas węglany?

Wiemy, że w powietrzu znajduje się cokolwiek kwasu węglanego, który wytwarzają przy oddychaniu ludzie i zwierzęta, oraz zapalane przez nas ogniska.

Żywych stworzeń jest jednak na świecie nieobliczona mnogość; wszystkie one oddychając, wydzielają codziennie bardzo dużo kwasu węglanego. Gaz ten, nagromadzając się ciągle w powietrzu powinien więc uczynić je dusznem. Tak jednak nie jest, kwasu węglanego nie przybywa wcale, gdzież on się zatem podziewa?

Ażebymóż sobie odpowiedzieć na to pytanie, zrobimy bardzo ciekawe i pouczające doświadczenie.

Doświadczenie. Nasypmy garść czystego, mokrego piasku do szerokiej butelki z białego szkła i rzućmy na dno szczyptę nasienia gorzycy lub rzeżuchy. Następnie przygotujmy, wskazanym na początku sposobem (z kredy i octu) w innej butelce kwasu węglanego, przelejmy go ostrożnie do flaszki i postawmy na słońcu. Nasionka niebawem poczną kiełkować, a po trzech lub czterech dniach dno butelki pokryje się zielenią. Kiedyśmy spostrzegli, iż rzeżucha już nie rośnie dalej, wyjmujemy z butelki korek i wkładamy do jej wnętrza tlejącą lekko drzazgę.

Ze zdziwieniem ujrzymy, iż takowa zapłonie niezwłocznie jasnym płomieniem, zupełnie jak w doświadczeniu z tlenem.

Z tego poznajemy, iż w butelce znajduje się teraz tlen, kwas węglany zaś zniknął. Co się z nim zrobiło? Oto rzeżucha rosnąc, rozłożyła go na jego części składowe; tlen, który właśnie znaleźliśmy w butelce i na węgiel, który posłużył jej za materiał na łodygi i liście.

Węgla, rzecz prosta, nie było ani w czystym piasku, ani w wodzie, ani w szkle butelki, nie mógł on zatem wziąć się znikąd indziej, jak tylko z kwasu węglanego, który jak nam wiadomo, jest połączeniem węgla z tlenem.

Na pytanie więc nasze, gdzie się podziewa z powietrza wytwarzany ciągle przez zwierzęta i ludzi kwas węglany, znaleźliśmy, przy pomocy powyższego doświadczenia, następującą odpowiedź:

Rośliny, wzrastając, pochłaniają z powietrza kwas węglany, rozkładają go w świetle na węgiel, z którego tworzą się ich łodygi i liście, i na tlen, który wydziela się swobodnie jako gaz.

Zofia Kowerska

## DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Majstrowa zapalała do Józika i jego psa gniewem wielkim. Oświadczyła, że Bosa musi być ukarany śmiercią przez powieszenie i tylko z tym warunkiem chciała Józika zatrzymać. Wtedy Józik uściskał Franusia, któremu przyrzekł, że będzie przychodził czytać mu co niedziela, pożegnał dzieci i czeladników w warsztacie, świsnął na psa i poszedł znów szukać dobrych ludzi i kawałka chleba. Ale mu było ciężko na sercu. Taki z niego był sierota opuszczony! Miał wprawdzie przyjaciół na szerokim świecie, ale nawet nie wiedział gdzie ich mógł szukać myślą. Żeby się już raz dostać do takiego kącika na ziemi, skądby nie potrzebował odchodzić. Smutno jest żegnać się, kiedy nikt na nas z powitaniem nie czeka. Jedynym towarzyszem i przyjacielem jego był zawsze Bosa, ale przecie psa nie można tak kochać jak człowieka, tak jak na przykład, Józik kochał Franusia, którego mu było

zał strasznie! Miał łzy w oczach i szedł ze spuszczoną głową, gdy naprzeciwko siebie zobaczył jakąś panią niemłodą, bardzo wystrojoną, prowadzącą na sznureczkach sześć piesków różnej wielkości. Bosy stanął jak wryty. Nie wiedział co znaczy to grono nieznanych mu współbraci. Pieski też były bardzo zajęte widokiem Bosego. Nastąpiło zbliżenie się, powitanie. Pieski były trochę przestraszone i bardzo pokorne, Bosy przybierał minę pełną wyższości i łaskawej wyrozumiałości. Pani zawołała na Józika:

— Chodź-no tu chłopcze! Widzę, że masz bardzo rozumnego psa!

— Tak pani; jest rzeczywiście bardzo rozumny.

— Czy może wyratował kiedy tonącego?

— Nie, proszę pani.

— A cóż on zrobił mądrego?

Józik opowiedział, jak Bosy ukąsił Walka w nogę, jak przyprowadził Wojciechowę do leżącej na ziemi pani Warbickiej.



Franciszek Palacki.

— Sprzedaj mi twego psa! — rzekła wystrojona dama.

— Ten pies nie jest do sprzedania, proszę pani.

— Ale ja ci za niego dobrze zapłacę!

— Nie mogę go sprzedać proszę pani!

— Dla czego?

— Bo przyjaciół się nie sprzedaje!

Wystrojona pani popatrzyła na Józika ze zdziwieniem.

— Jesteś ubrany ubogo — ozwała się — ale widzę, że ubogi nie jesteś, kiedy nie chcesz dobrej za psa zapłaty.

— Jestem zupełnie ubogi, proszę pani, idę szukać jakiej służby, jakiego chleba...

— To pies będzie ci tylko ciężarem.

— Przepraszam panią, ale sprzedać go nie mogę.

— A gdybym ci dała ..

— Za żadną cenę go nie sprzedam.

— A to szczególnie chłopiec! — zawołała pani. — I jakiegoż ty chleba szukasz? Jakiego szukasz zajęcia?

— Chciałbym być chłopcem u szewca.

— Umiesz już rzemiosło?

— Byłem kilka miesięcy w warsztacie szewckim. Uszyłem sobie sam te buty...

— No, nie są bardzo piękne, nie masz się z czem chwalić!

Józik zawołał swego psa i poszedł dalej, pani poprawiła zaplątane sznurki, na których prowadziła swoje pieski i ruszyła też w swoją drogę, gdy nagle obejrzała się i poczęła wołać:

— Chłopcze, chłopcze!

Józik obejrzał się i wrócił do pani z pieskami.

— Jeśli chcesz, to cię zaprowadzę do szewca, który mi od 30-tu lat robi obuwie. Powiem mu, że jesteś porządnym chłopcem kiedy psa swego kochasz. Bo widzisz, psy nie są takie złe, takie niegodziwe, takie niewdzięczne jak ludzie! Mniewdzięczni zdradzili, zakrwawili serce i już tylko w psią przyjaźń wierzę!

— O, jaka pani biedna! — zawołał Józik.

— Bardzo biedna! — odparła pani. — Zawołaj, chłopcze, dorożkę, pomożesz mi wsiąść do niej, wsadzisz moje pieski, usiądziesz na koźle i pojedziemy na Marszałkowską.

Józik spełnił rozkaz pani, sam usiadł na koźle, Bosemu rozkazał iść za dorożką.

— Ta pani jest pewno bardzo bogata—myślał Józik — ale ja jestem szczęśliwszy od niej. Wiem, że są źli ludzie na świecie, ale są i dobrzy; są tacy jak była pani Warbicka, jak jest pan Wesołowski, jak Franuś i Wojciechowa. Ta pani, która tylko pieski kocha jest bardzo nieszczęśliwa, skoro nie wierzy w przyjaźń ludzką i skoro na świecie całym niema nikogo do kochania!

Pani tymczasem rozmawiała ze swemi pieskami. To je pieściła, to karciała, przemawiała do nich tak czule, zupełnie jak gdyby pieski były jej dziećmi.

Wreszcie dorożka się zatrzymała. Józik wysadził z niej Fibsa, Bibę, Mirzę, Ralfa, Boksa i Spircia, wreszcie samą panią i wszedł za nią do sklepu. Pani zaczęła mówić z właścicielem sklepu co przerwało nieporozumienie, wynikłe nagle między Bosym i Ralfem, który wyrwał się wraz ze sznurkiem z rąk swej pani i zapomniawszy o swym wzroście mizernym, stanął do walki z Bosym. Nierówna walka byłaby może miała groźne następstwa, gdyby właściciel sklepu nie był najspokojniej wylał na zapastników całą kwartę zimnej wody, co w jednej chwili przywróciło spokój; wtedy bogata pani zaleciła Józika panu Wirwońskiemu, który po różnych targach, tłumaczeniach, wypraszaniu się, przyjął nareszcie Józika wraz z psem. Krzywił się wprawdzie do końca i oświadczył, że bierze Józika tylko na próbę, ale chłopiec był uszczęśliwiony. Dawano mu pracę, dach nad głową i kąpiel przy ognisku rodzinnym, choć cudzem. Rzucił się by ucałować ręce pani, która się za nim wstawiła.

— Dziękuję pani! — mówił gorąco. — Pani w dobrych ludzi nie wierzy, a jednak sama pani taka dobra...

— Za co mi dziękujesz? — rzekła kwaśno — przecie ja nie dla ciebie to zrobiłam, tylko dla twego psa, który mi się podobał, a sprzedać mi go nie chcesz! Żaden człowiek nie wart jest bym za nim słowo przemówiła! Jaki z ciebie niemądry chłopiec! Więc ty myślałeś, że ja dla ciebie z Krakowskiego Przedmieścia aż na Marszałkowską przyjechałam?

Józik zapomniał języka w ustach. Nie wiedział co odpowiedzieć.

— Ja to zrobiłam tylko dla tego, by pies, który potrafił bronić swoją panią od złodzieja, który potrafił sprowadzić dla niej ratunek, gdy była chora, miał przecie kawałek chleba i trochę słomy na posłanie. Pamiętaj żebyś mu uszył sieniczek. I pan, panie Wirwoński, niech pan będzie dla psa dobry. A teraz, chodź chłopcze i wsadź mię znowu do dorożki. Naprzód daj mi Ralfa, tego kasztanowatego, potem Spircia... Co ty robisz, to nie Spircio ale Boksi!...

Nareszcie pani i wszystkie pieski umieszczone zostały i dorożka oddaliła się. Pan Wirwoński przeprowadził ją wzrokiem, poczem wszedł napowrót do sklepu, ruszając ramionami.

— A to dziwaczka! — rzekł jakby sam do siebie. — Biedne kobiecisko!

— Bardzo biedna! — odparł Józik. — Chyba ona...

Tu pokazał znacząco na czoło.



Lwy afrykańskie.

— Gdzietam! — odparł pan Wirwoński. — To bardzo dobra kobieta, ale rodzony brat źle się z nią obszedł i ona tak z rozpacz chorowała, że mało nie umarła. Kochała bardzo tego niedobrego brata. I teraz jej się zdaje, że skoro ten ukochany brat okazał się złym człowiekiem, więc już dobrych ludzi niema i są tylko sami źli i niegodziwi na świecie. Ale, że człowiek nie może żyć bez żadnego ukochania, więc biedne kobiecisko kocha tę zgrają psiaków, które szciekają zajadle na każdego, co do jej mieszkania wchodzi, a ona mówi wtedy, że psy czują złych ludzi.

— O jakże mi żal tej biednej pani! — zawołał Józik.

— No chodź, chłopcze — rzekł pan Wirwoński — spróbuję, czy się da z ciebie co zrobić. Z oczu patrzy ci dobrze i mam nadzieję, że nie jesteś jednym z tych włóczęgów, co to na nieszczęście porządnych ludzi, do ich rodzin się weiskają. Skąd pochodzisz i co dotąd robiłeś?

Józik opowiedział całą historję swoją, a pan Wirwoński zapytał:

— A czy ty nie kłamiesz?

— Nie kłamię, proszę pana.

— Tyle już miałem kłamców i złych chłopaków u siebie, i to ich wina, że się potem i dobrym nie wierzy. No, zobaczymy! Pokaże się, czyś dobry czy zły!

Pan Wirwoński był już nie młody. Miał córkę zamężną i synów dwóch w szkołach. Józik nie siał z państwem do stołu, tylko z innemi chłopcami i czeladnikami. Wszystko w tym domu działo się akuratnie i porządnie. Robota z warsztatu wychodziła piękna i mocna, żadnego tam nie było oszukaństwa. Pani Wirwońska była gospodynią co się zowie. O wszystkim wiedziała i bardzo się jej nie podobało to, że Józik miał tylko dwie koszule. Z tego powodu patrzyła nawet na niego podejrzliwie. Ale powoli nabrała do niego zaufania. W jej domu chłopcy musieli często zmieniać białinę, bo pani nie znosiła brudu. Po miesiącu sprawiła Józikowi parę koszul i ubranie. Było mu tu dobrze, ale mu brakło życzliwej duszy. I pan i pani nie wiedzieli jeszcze co o Józiku myśleć, chłopcy i czeladnicy bali się, by na nich nie skarżył i nie powiedział państwu tego, że nieraz zamiast szyć obuwie, próżnowali i w karty grali. Józik pracował sumiennie, uczył się porządnej roboty i marzył o tem, by zostać czeladnikiem. Przecie miał długi, winien był Wojciechowej kilka rubli i musiał je oddać koniecznie; chciał też od gospodarza domu, w którym mieszkał z panią Warbicką, wykupić kilka pamiątek po swojej opiekunce. Przytem chciał też by jego robota była coś warta, skoro mu za nią płacą. Ale o nic się nie upominał i czekał spokojnie aż sam pan Wirwoński uzna, że mu coś płacić warto.

W niedzielę chodził Józik z pozwoleniem swoich państwa do Franusia. Pani Wirwońska pożyczała nawet książkę, które Józik czytywał choremu chłopcu. Z Franusiem zamiast być lepiej, było coraz gorzej, ale Dratwińskim jakoś nie dobrze się powodziło i nie mieli za co oddać chorego dziecka do szpitala.

Upłynęło tak półtora roku, Józik miał już lat 15 i w ostatnich czasach wyrósł ogromnie. Miał u państwa Wirwońskich dobre pożywienie, miał spokój, był zdrow, pracował dużo, ale nie nad siły, więc się i wyciągnął i rozrósł. Był z niego tęgii chłopiec co się zowie. Jeden z synów pana Wirwońskiego tak go polubił, że wieczorami w zimie, po skończonej robocie uczył go, a Józik do nauki aż drzał. Gdy mu Bolesław Wirwoński, tak się nazywał jego nauczyciel, zadał do nauczenia się dwie stronicę, on się nauczył cztery.

Raz, pan Wirwoński, wszedłszy do warsztatu zobaczył, że Józik szył but męzki siedząc na stołeczku, przed nim zaś na ziemi, oparta o drugi but, stała otwarta książka, a Józik szycząc zawzięcie, powtarzał sobie nazwy rzek, które wpadają do morza Bałtyckiego. Pan Wirwoński stanął nad nim, a on szyje bez pamięci, a powtarza głośno:

— Odra z Notecią i Wartą, Wisła z Narwią, Bugiem, Sanem i Pilicą, dalej Przegola, Niemen, wpadający do zatoki Kurońskiej...

Pan Wirwoński stał nad nim długą chwile, inni chłop-

cy i czeladnicy się śmieli, a on nie wiedział o całym Bożym świecie.

— Ten Józik Kilowski, to niezgorszy chłopiec — rzekł tego samego dnia wieczorem pan Wirwoński do żony.

— Ee, to nie jest niezgorszy chłopiec, ale bardzo porządny chłopiec — odparła pani.

— Trzeba mu będzie dać małą pensję.

— Niema tu krzywdy, je dużo, bo ma apetyt za dwóch, to się z pensją można jeszcze wstrzymać.

— No i pies jego też powietrzem nie żyje.

— Na psa nic nie wydaję. Gdzieś on wieczorami biega i powraca objedzony jak bąk.

Państwo Wirwońscy uradzili tedy, żeby jeszcze Józikowi nie płacić, tymczasem jeden z czeladników, który poprzednio pracował u państwa Wirwońskich przeniósł się do innego zakładu i począł Józika buntować. Szedł z nim jednej niedzieli aż na samą Pragę i wciąż mu obiecywał złote góry. Namawiał go, aby się zgodził do tego majstra u którego on teraz pracował. Miał tam pobierać 20 kopiejek dziennie i całe utrzymanie.

Było to dla Józika bardzo ponętne, ale się nie zgodził.

(d. c. n.)

## Franciszek Palacky.

W czerwcu r. b. naród czeski obchodził uroczyste setną rocznicę urodzin wielkiego historyka swego, któremu zawdzięcza odrodzenie mowy rodzinnej i wiadomości dziejów ojczystych. Historykiem tym był Franciszek Palacky, urodzony w małej wiosce morawskiej 14 czerwca 1798, a zmarły 26 maja 1876 roku.

Syn nauczyciela wiejskiego od młodości odznaczał się wielkimi zdolnościami i nadzwyczajną pracowitością, to też rychło dał się poznać swemi pracami z dziedziny historyi i językoznawstwa. W r. 1829 Towarzystwo Naukowe Czeskie poleciło mu napisanie historyi Czech, i Palacky poświęcił całe życie pracy tej, tworząc pomnikowe swe dzieło p. t. „Dzieje narodu czeskiego”. Jest to pierwsza źródłowa i krytyczna historia Czech, doprowadzona aż do roku 1526. Stała się ona podstawą do dalszych badań i prac młodszych historyków.

Oprócz tego wpłynął Palacky na rozwój języka czeskiego przedtem nader zaniedbanego, na rozpowszechnienie jego wśród współziomków i w ogóle na podniesienie się wszystkich stron bytu narodowego, za co Czesi nazywają go „Ojcem narodu”.

Na uroczystość Palacky'ego zjechali się do Pragi przedstawiciele nauki i literatury wszystkich narodów słowiańskich. W Panteonie pragskim odsłonięto bronzowy posąg zasłużonego męża, a jednocześnie położono kamień węgielny pod pomnik, który ma stanąć przy moście jego imienia.

Uroczystości trwały dni kilka i miały charakter bardzo wspaniałe i serdeczny.

## Lwy afrykańskie.

Wspaniałe te zwierzęta, obdarzone niezwykłą siłą i odwagą, dawniej więcej daleko niżeli dzisiaj były rozpowszechnione. Wyprawiane igrzyska w Rzymie, w czasie których po kilkaset naraz lwów wyprowadzano na arenę, przyczyniły się w znacznej części do ich wytopienia. Obecnie najwięcej tych zwierząt znajduje się jeszcze w Afryce, na przestrzeni między pustynią Sahary a przylądkiem Dobrej Nadziei.

Lew ma ogon długi, zakończony gęstą kitą włosów, głową wielką, postawą okazałą. Samca zdo bi grzywa, obejmująca szyję i piersi; lwica i małe lwiątko grzywy tej nie posiadają. Ryk lwa rozlega się daleko i przejmując strachem inne zwierzęta. Czatuje on na zdobycz wieczorem i nad ranem, najczęściej gości przy wodzie, jednym skokiem dosięga swą ofiarę i łapami obala na ziemię. Człowieka nie zwykł napadać, ale zaczepiony, stawia opór zacięty. Obłaskawienie króla pustyni nie jest zbyt trudnem; cesarz rzymski Marek Antoniusz, ukazywał się zwykle ludowi na wozie przez dwa lwy ciągnionym, a w obecnych czasach dla zabawy publiczności tak zwani pogromcy lwów dają w menażeryach przedstawienia, często jednak padają ofiarą rozdrażnionych zwierząt, nie zawsze usposobionych do bezcelowych popisów.

*Marya Łopuszańska.*

## OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Purpurowy płaszcz spięty bogatą klamrą, na prawem ramieniu zwieszał się i spadał na dół w bogatych fałdach.

Zdjął właśnie z głowy pokrytej ciemnym, bujnym włosem, piękny soboli kołpak, z czapłą kitką i na dumną tę głowę i czoło wyniosłe padł złocisty, gorący promień słońca i ognistą iskrę zapalając w purpurowej tkaninie i dyamentowej spince u kołpaka, takie światło rozlał dokoła, że cała postać króla zdawała się rzucać blask od siebie.

Za królem stali wojacy młodzi po większej części, ze złotemi na szyi łańcuchami w nagrodę męstwa i zasług wojennych. Wszystkim też odwaga i męstwo patrzyło z oczu, bo takimi tylko król Chrobry lubił się otaczać. Znajdował się tam również opat Tuni, cieszący się wielkiem szacunkiem króla, powiernik jego najskrytszych zamiarów. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, średniego wieku, suchy i zawiedły, tylko czarne, głębokie oczy świeciły w jego twarzy żywym, niekiedy niespokojnym blaskiem, miarkowanym jednak powagą i pobożnością, właściwą duchownej jego sukni.

Gdy więzień spojrział na owego męża siedzącego w porośrodku, upadł na twarz, bo domyślił się, że stanął przed obliczem królewskim.

Bolesław zdawał się być bardzo zagniewany; twarz jego na pozor była spokojna, ale oczy sypały iskry; wyglądał jak lew, który potrząsa grzywą i gotuje się zaryczeć, by rykiem tym zachwiać posady ziemi. Nie zauważył jeszcze przybycia więźnia.

— Pięknie się tu rządzi w mojej nieobecności—mówił, mnąc gniewnie koniec purpurowej delii—dopuszcili, by pogaństwo znów podniosło głowę zuchwale; ale ja nie zezwolę na to, jako Bóg żywy nie zezwolę. Kto nie ugnie głowy, ten ją straci!

I machnął ręką, jakby wskazując co zrobi ze wszystkimi owemi zuchwałemi głowami.

Za królem stał ulubieniec jego, nieodstępny towarzysz Stoigniew.

— Miłościwy panie — rzekł, pochylając się nieco, by być posłyszany — przyprowadzono owego człowieka, którego pojmano wczoraj.

Król spuścił wzrok gniewny, na wciąż jeszcze leżącego więźnia.

— Podnieś się! — zawołał rozkazująco.

Lecz przestraszony biedak nie słysząc lub też nie spodziewając się, by słowa owe do niego skierowane były, nie ruszył się wcale.

— Ładonie! — ozwał się król do jednego z młodych rycerzy, stojących za nim, — idź, powiedz temu głupcowi by wstał!

Wezwany zbliżył się do wieśniaka i dotknawszy jego ramienia, rzekł:

— Podnieś się, król chce z tobą mówić.

Wieśniak zerwał się na równe nogi, jakby poruszony sprężyną.

— Czy to prawda żeś ośmielił się zwalić krzyż stojący przy drodze? — spytał król, ściągając brwi.

— Wasza miłość... panie miłościwy — jękał się przerażony biedak — ja nie, ja nie wiem, to tamci... ja tylko zdaleka patrzyłem.

— Mów prawdę — rzekł król surowo — poznam zaraz gdy skłamiesz. Kto, tamci? kto był więcej z tobą?

— Albo ja wiem, panie miłościwy?... Było ich tam dużo, czyż mogłem wiedzieć kto oni? Bies ich tam wie — mówił wieśniak, mnąc czapkę w rękę.

— Powtarzam ci, mów prawdę, bo źle wyjdiesz na tem gdy zechcesz oszukiwać — ozwał się znów król. — Naprzód powiedz: Czy jesteś ochrzczony?

— Tak se niby... — odrzekł wieśniak, a nogi pod nim drżały, gdy poczuł na sobie ów gniewny wzrok króla.

— Ochrzczonym — wybelkotał wreszcie.

— A no, zobaczmy zaraz... Przeżegnaj się!

Wieśniak wahał się nie wiedząc co zrobić.

Przeżegnaj się — powtórzono dokoła!

Wieśniak zrobił znak krzyża, ale lewą ręką.

— Lewą ręką się żegna — powtórzili obecni ze śmiechem.

— Widać zaraz, jaki z ciebie chrześcijanin — rzekł król surowo — nawet przeżegnać się nie umiesz... Czy nie ma księdza w waszej okolicy?

— A ino, miłościwy panie — odparł wieśniak — nasza osada wśród puszczy... Starzy ludzie rozpowiadają, że był u nas raz ksiądz i ochrzcił wszystkie dzieci, ale ja tego nie pomnę; tylo macierz moja mówili, że m ochrzczony także.

— Stoigniewie — rzekł król — trzeba im tam zaraz posłać księdza, pierwszego lepszego, jaki się znajdzie pod ręką.

A zwróciwszy — się do wieśniaka, spytał:

— Jak ci na imię? Jak się zowie wasza osada?

— Ja się zowią Chrząszcz, a nasza osada Bednary, bo tam sami bednarze — odrzekł chłop.

— A teraz mów dalej: kto zwał krzyż? Przyznaj się, to ci daruję, inaczej srodze zostaniesz ukarany — rzekł król.

— A dyć ja nie nie wiem, miłościwy królu! — zawołał wieśniak, padając na kolana — pomiłujcie mię... nic nie wiem!

Okrągłe jego oczy przybrały wyraz przerażenia.

— Mów prawdę! — krzyknął król, porywając się z błyszczącym okiem. — znam was! Pokrywacie się wzajemnie, ale ja wiem wszystko; daremnie chcecie mię oszukać. To zrobili myśliwi i drwale z puszczy, za namową dziada owego! Wszakże tak? Nie możesz teraz zaprzeczyć, skoro wiem wszystko!

Wieśniak popatrzył zdziwiony na króla; nie mogło mu się pomieścić w głowie, iż wiedział wszystko tak dokładnie.

— A więc tak, wasza prawda, wielki królu! — odrzekł, drżąc na całym ciele, bo był teraz przekonania, że król jest wszechwiedzącym — to oni rzucili krzyż, ale jam nie winien... niech mię piorun spali, jeśli kłamie...

Bolesław zdawał się rozbrojonym jego szczerym przestachem; wielka jego dusza gardziła pastwieniem się nad słabą, nędzną istotą, rzekł więc łagodniej:

— Widzisz, że wiem wszystko. Dlaczegożeś odrazu nie powiedział? Kto inny zawinił, a ty byłbyś ukarany. Mówiłem ci przecież, że jeśli powiesz prawdę, to będzie ci darowanem.

— Wasza miłość — odrzekł wieśniak, drapiąc się w głowę.

wę, ośmielony nieco łaskawszym tonem króla—albo to zawdy można wierzyć temu, co wiele obiecują?

I przelękniony tem, co mu się w prędkości wypowiedziało, nagle spuścił głowę.

— A często cię wiele oszukiwali? — spytał go król z uśmiechem.

Wieśniak obejrzał się po otaczających króla panach; na twarzy jego odbił się ów charakterystyczny wyraz chłopskiej chytryści, ale nic nie odrzekł.

— No, abyś wiedział, że ja do tych wielkich nie należę — ozwał się król po chwili — i że zawsze zdzierzę słowo, puszczaam cię wolno; możesz sobie iść, gdzie chcesz.

Na te słowa wieśniak padł na kolana znowu i czołem uderzył o ziemię, wyrażając swoją wdzięczność.

Potem oddalił się uradowany, a gdy znalazł się na placu, podrzucił kilka razy czapkę w górę z radości. Wśród tłumu ozwały się okrzyki na cześć króla; bo choć wczoraj srożyli się na poganina, jednak radzi byli, że król łaskaw na biednych ludzi.

— Miłościwy panie — ozwał się jeden z wojewodów, któremu nie do smaku były ostatnie słowa wieśniaka — puściliście tego człowieka, a on może nie tak niewinny, jak się wydaje, ino postać taką przybrał na siebie.

— Wojewodo — odparł król — ciekaw jestem, czybyście radzi byli wszyscy, gdybym chciał dochodzić tak ściśle każdej winy waszej. Jeśli człek ten zawinił, to zgrzeszył bardziej ciemnotą i nieświadomością, niż złą wolą. A teraz dość już o tem.

Posłowie duńscy dziwowali się wielce, iż król tak się troszczy o zrzucenie jednego krzyża; ich bowiem monarcha obalał sam owe godła chrześcijaństwa, wracając do dawnej wiary przodków, której ojciec jego Harald wyrzekł się był przed laty. Teraz więc przyznawali słuszność wyrokowi Bolesława.

— Na Odyna! — ozwał się jeden z nich półgłosem — nasz król Sweno jeszczeby podobny czyn nagrodził!

— Daleko jednak Swenonowi z rozdwojoną brodą do tego mądrego króla Polanów! — szepnął jego towarzysz.

— Bo też ich kraj daleko bogatszy i potężniejszy.

— A ich król wielki! To trzeci główna, bracie — rzekł cicho trzeci poseł.

— Co mówicie, rycerze? — ozwał się król, spostrzegłszy, iż Duńczycy rozmawiają o nim — czy może nie do smaku wam mój wyrok, jak wojewodzie Sobiesławowi?

— Nie, królu — odrzekł najstarszy z rycerzy duńskich — podziwialiśmy owzem mądrość waszą w tym wyroku i powiadamy, że nie dziw, iż nasz król u was szukał sobie małżonki, bo gdym się przyjrzał bliżej, to widzę, że między naszym a waszym narodem wiele jest podobieństwa.

— Jakież to podobieństwo? — spytał król.

— Jakto! więc go nie widzicie? — odrzekł Duńczyk. — A ot takie, że wy pijecie miód i my go pijemy; wy nienawidzicie Niemców i my też zbytńio ich nie miłujemy; wy ich bijecie i my często mieczem ich po łbie głaszczemy. Małoż więc między nami podobieństwa?

— O, co do tego, żeby bić Niemca — odparł król z uśmiechem — to zgadzam się, że jedna u nas natura z wami! Lecz między mną a waszym królem jest wielka różnica — dodał nagle, powracając do zwykłej powagi, a na twarzy jego odbiła się myśl jakaś wielka. — Różnica jest taka, że ja stawiam kościoły, a on je burzy.

A wojewoda Sieciech szepnął do Sobiesława:

— Trzeba było dodać, że księżę Mieszko umarł swoją śmiercią, a Sweno ponoś tam pomógł ojcu swemu Haraldowi, by mu prędzej tronu ustąpił.

— Miłościwy królu — ozwał się rycerz duński po chwili milczenia — to właśnie przywiązanie do starej wiary jednym jest jeszcze dowodem nienawiści naszej do Niemców. Nie chcemy nawet wierzyć w to, co oni.

Tymczasem lud zgromadzony na placu rozchodzić się począł powoli; słońce, wypłynawszy do połowy nieba, dogrzewało już dobrze i służba zgromadzona na podwórzu, usunęła się w cień, pobliskich drzew.

Posłowie duńscy oddalili się również, przy królu więc pozostało tylko poufałe kółko. Rozmowa też stała się swobodniejszą.

— Widzę, że zaniedbałem tę część królestwa — mówił Bolesław w zamyśleniu — więc o ile mi teraz czas pozwoli, całą mą baczność tu właśnie skieruję. Trzeba koniecznie wykorzenić ostatki pogaństwa; gdy inaczej nie można będzie, to choćby mieczem nawet. Miecz niekiedy lepiej chrzei upartych, niż woda!

— Nie, królu — ozwał się opat Tuni — pozwólcio rzec sobie, że źle jest uciekać się najpierw do miecza; pomnijcie, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Niech tam wprzód pójdzie słowo Boże, a gdy ono nie podoła, będzie się można uciec do miecza.

— Tak, a tymczasem będą myśleli, że się ich boję — odparł król. — Już i tak ich zuchwalstwo doszło do niesłychanej miary. Dość mam kłopotu na granicach z obcymi, jeszcze i ci będą mi tutaj bruździć! Nie myślę wcale długo się z nimi wodzić, nie mam na to czasu, bo jest dosyć ważniejszych rzeczy na głowie. Tylko co nie widać, jak cesarz zrobi nam znów jaką sztukę; czuję to dobrze; nie czas więc zajmować się wtedy łotrami; trzeba z nimi teraz skończyć, zgnieść w samym zarodku, bo inaczej mogą jeszcze podnieść głowę kiedyś groźnie.

— Miłościwy królu — ozwał się opat Tuni — posłuchajcie mojej rady; trzeba najpierw spełnić obietnicę, którąście zrobili siostrzanowi, księciu Emerykowi, to jest wystawić kościół na Łysej górze, a najlepiej i klasztor przy nim zbudować, sprowadzić do niego Benedyktynów z Włoch. Gdy tak to ostatnie schronienie pogaństwa zostanie poświęcone słuźbie Bożej, to i lud wyjdzie z grubej ciemnoty i zabobonów, w których jest dotąd pogrążony, bez użycia gwałtownych środków.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Niudany połów, wiersz przez Maryę S. (z ryc.) — Alkaios w Motonie przez L. W. Szczerbowicza. — Pogadanki naukowe przez Wł. Umińskiego. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Franciszek Palacký (z port.) — Lwy afrykańskie (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Kwiat paproci przez Ludwikę Życką (z ryc.) — Piosnka, wiersz przez E. L. Nieproszeni goście. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbiteków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



# WIECZORY RODZINNE

## KWIAT PAPROCI.

Janinka słyszała od starej swej niani, że jest czarodziejski kwiat paproci, który rozkwita tylko raz w rok w nocy o 12-tej godzinie, w wigilię św. Jana. Otóż, jak upewniała niania, kto taki kwiat znajdzie, ten będzie wiedział wszystkie tajemnice, będzie znał wszystkie zaczarowane skarby i bogactwa ukryte w ziemi, i ten będzie raz na zawsze szczęśliwy!

Janinka była wielką ciekawską i chciała zawsze wiedzieć i słyszeć wszystko, co mówiono w domu i zobaczyć wszystko co kto ze starszych robił.

By dogodzić swej ciekawości, musiała nieraz nabiegać się z kąta w kąt po całym domu, i nieraz też być zawstydzoną, gdy ją ktoś schwytał pod drzwiami, lub pod oknem. A przez to zajmowanie się cudzemi sprawami opuszczała oczywiście własne obowiązki, i bywała strofowana przez matkę i nauczycielkę za niedokładność w lekcyach i nieporządek w swej szafce i komódce.

— Mój Boże! myślała sobie, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Ciągłe mnie łają! Gdybym to znalazła taki kwiat paproci, któryby mi opowiadał, gdzie się co dzieje i jeszcze za mnie zadania arytmetyczne porobił, to dopiero byłabym szczęśliwą!

Nadszedł dzień św. Jana, 24-go czerwca. W wigilię dnia tego późno wieczorem, Janinka wymknęła się z domu, sama jedna, i pobięła dróżką do starego parku. Tam na wzgórkach rosły paprocie i przy blasku księżyca, rzucały cień na trawy, rysując się w świetle letniej nocy, jak prawdziwie zaczarowane bukiety. Rosa była obfita; nad rzeką słały się mgły, a z poza nich dochodziło skrzeczenie żabek, pokrzykiwanie derkaczy i wodnych kurek.

Janinka poczęła drzeć ze strachu i wilgoci, która ją na wskroś przejęła: przypomniało się jej, że niania opowiadała iż takiego kwiatu paproci, strzegą różne straszne stworzenia, i dopiero kto się ich nie złąknie ten znajdzie i zdobędzie kwiat cudowny.

Nagle zatrzymała się nie śmiać postąpić dalej, bo jakaś wielka trawa, zroszonemi liśćmi musnęła ją po twarzy, a jej się wydało, że to latający smok, chce ją pożreć. Krzyknęła, i byłaby uciekła, ale chęć zdobycia szczęścia na całe życie, przemogła. Opanowała się, skoczyła naprzód i drząc całą, rwała wspaniałe zielone pióropusze liści paprociowych. Ale kwiatu między niemi, nie było! Rozgarniała krzaki jedne po drugich nagle!... coś ogromnego, czarnego skoczyło na nią z pobliskiego drzewa! Tu już Janinka prawie nieprzytomna ze strachu krzyknęła, i puściła się lotem strzały do domu, gubiąc zebrane liście. Błada, zmoczona wbiegła prosto do mamy, i z płaczem przyznała się do wszystkiego. Za nią przybiegł z parku wielki czarny kot, który tam czatował na ptaszki, i był sprawcą całego jej strachu.

— Uwierzyłaś bajce — mówiła mama. — Takiego kwiatu niema na całym świecie. Szczęście i wiedzę pożyteczną, człowiek musi sam zdobyć i wypracować — a wtedy znajdzie je zawsze w sobie samym.

Ludwika Życka.



... rwała wspaniałe zielone pióropusze liści paprociowych...

## PIOSNKA

(na nutę „w Gaiku zielonym“).

Jagódek tysiące,  
Tu jedna, tam druga:  
A wszystkie tak lśniące,  
Jakby krasna smuga.

Wstanę ja raniutko,  
I z domu wyskoczę,  
Uzbieram prędziutko,  
To wszystko co zoczę.

Ej dana, ej dana!  
Jak piękny świat Boży,  
Szczęśliwam od rana,  
Przy tych blaskach zorzy.

Aż się oczy śmieją  
Do jagód czerwieni,  
Serce mi wyskoczy  
Pośród tej zieleni.

Biednaś ty, jagódko,  
Kryjesz się w listeczki,  
Pójdź do mnie, filutko  
Będziesz dla mateczki.

A ty, czarny taki  
Jak węgiel w kominie,  
Pójdiesz na przysmaki,  
Los ciebie nie minie.

O Boże mój, Boże,  
Cóż ci oddam za to?  
Za te piękne zorze,  
Za to cudne lato?

Ot serduszko swoje,  
W ofierze dziś złożę,  
Przyjm za dary Twoje,  
Mój serdeczny Boże!

E. K.



## NIEPROSZENI GOŚCIE.

I

Persaki czyli Prusaki.



Fee! powiecie niezawodnie, przeczytawszy tytuł „fee! cóż za brzydkie stworzenia!”

A jednak stworzenie to nie jest mniej ciekawe od wielu innych; jeżeli zaś chodzi o wygląd jego, to przecie są stworzenia stokroć brzydsze. Ot choćby turkuć! Jakby wszakże wiedziały prusaki, że ludzie taki wstręt do nich czują, bo starają się nie pokazywać im we dnie i dopiero

w nocy, gdy zupełna ciemność i cisza wokoło, wychodzą z kryjówek szukając pożywienia. Najliczniej gromadzą się tam, gdzie kucharka resztki jedzenia w garnku zostawiła, lub złożyła kości dla biednej kościarki, bo dla prusaków nic nad to nie potrzeba, uczta podobna wystarcza im zupełnie. Zajadają chciwie, byle więcej, byle prędzej, tylko wąsami z uciechy poruszają. Już mają wracać, a tu dostrzegają, że szafa niezupełnie przymknięta. Szpara wprawdzie nieduża, wejść jednak można z łatwością.

Więc jeden za drugim, jeden za drugim cisną się do szafy. Istny raj, co tu przysmaków! Chleb, cukier, kasza gotowana, bułki, słowem jakby kto umyślnie, dla nich najdoskonalsze przygotował potrawy. Do świtu tam przesiedziały racząc się nadmiernie, bo żarłoczne są bardzo.

A czy widzieliście też kiedy małe persaki? Są to zaraz po wyjściu z jajek podłużne, białe robaczki o małych nóżkach i czarnych oczkach. Troskliwa o ich byt matka przyprowadza je czempędziej do szpary w podłodze, gdzie znajdują się odrobinki chleba. Robaczki chciwie poczynają zajadać i o dziwo, w kilka godzin przekształcają się już na płaskie, bure owady. Matka jednak

nie pozostawia ich jeszcze bez opieki; prowadzi za sobą od jednej szpary do drugiej, od jednego kąta do drugiego, wyszukując pożywienia. Widać, że polowanie dobrze im służy, gdyż maleństwo wzrasta widocznie. W końcu ubranie dawne staje się za ciasne i pęka na łepku. Młody owad wyłazi ze starej skóry jak z futerała, ale znowu inny: białutki i na tak słabych nóżkach, że z trudnością chodzi. Mija znów kilka godzin, a prusak, wzmacnia się w sile i przybiera barwę ciemną.

Taka przemiana odbywa się z pięć razy, dopóki młode prusaki dostaną skrzydła i stają się zupełnie do rodziców podobne. Ale na co potrzeba od czterech do sześciu miesięcy.

Wszystko byłoby dobrze gdyby w domu, w którego kuchni tak się prusaki rozgościły nie nastąpiła inna służąca. Ta skoro zobaczyła jednego wieczora na kominie wielkie ich mnóstwo, aż się za głowę chwyciła.

A też tego robactwa tu nie brak — zawołała, i dalejże porządkować i sprzątać. Jak więc zaczęła wszystkie kąty czyścić, myć, szorować; jedzenie chować, zamykać, przykrywać, biedne prusaki nie miały gdzie się podziąć i z głodu aż osłabły.

Na domiar złego, zawzięta kucharka porozsypywała wszędzie jakiegoś proszku żółtego i boraksu z cukrem. Prusaki nie przeczuwając zdrady, rzuciły się na upragnione pożywienie, lecz połowa ich na miejscu śmierć znalazła.

Zwołały więc naradę ogólną, na którą zaprosiły nawet kuzynów swoich dużych, czarnych karaluchów. Radziły noc i dzień cały, w końcu postanowiły przenieść się na drugie piętro. Tam podobno służąca mniej jest porządna, to sobie łatwiej poradzą w zdobyciu pożywienia.

Marya Weryho.



## KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

Zabrzmiały chóry, śpiew rozległ się poważnie wśród ciszy. Wszyscy słuchali z zachwytem.

Potem zaczęto zapalać ognie kolorowe i fajerwerki. Rzeka wydawała się na przemiany to ognista, to srebrna; to pieniała się lanem słońcem, to bryzgała szmaragdową pianą. Czerwone zygzaki latały w powietrzu, snopy iskier i słupy ogniste wzbijały się w górę.

Korzystając z ogólnego zajęcia, Halinka przesunęła się cicho między dworzanami i odczepiła małą łódkę. Cień padający od namiotu królewskiego zasłonił ją, łódka niesiona prądem, pomknęła szybko.

Dziewczynka rzuciła na wodę płaszcz swój i kapełusz i wzięwszy wiosło kierować zaczęła do przeciwnego brzegu. Choćby ją zdaleka ujrzano, nikt, w tem skromnem przebraniu nie poznałby królową grzybków.

Dopłynąwszy, wysiadła na brzeg i puściła łódkę z biegiem rzeki.

Las szumił poważnie, chwilami rysowały się na ziemi złote pasy, lub drzewo oświeślało się nagle, wiatr niósł echo radosnych krzyków i wiwatów.

— Muszę prędko iść, aby się od rzeki oddalić, myślała, choć wątpię, żeby mnie szukali w borze; znalazłszy płaszcz i kapelusz pomyślała że utonęła. Trzeba poszukać jakiego schronienia gdziebym noc spędzić mogła.

Zaczęła biedz szybko, las w tem miejscu był rzadszy, a Halinka przyzwyczajona była chodzić po ciemku. Wreszcie zaszarzał przed nią wielki dąb i poczuła, że stoi na warstwie mchu.

— Położę się i zasnę — pomyślała.

Poczęła się układać na mchach, przyczem poruszyła się parę razy i posunęła naprzód.

Raptem uczuła, że się stacza, i że leci w jakąś przepaść. Chciała się czegoś przytrzymać — nie mogła.

Wysokość była znaczna. Dziewczynka czuła, że się stacza, jakby po piasku i że pada na coś miękkiego.

Zrazu ogłuszona leżała bez ruchu, a tymczasem księżyc oblał niebo srebrnym światłem i wytoczył swoją szeroką tarczę nad jej głową.

Halinka otworzyła oczy.

Leżała na dnie głębokiego parowu, wrzosi i mchy zaścielały go.

Jednocześnie usłyszała żalosne beczenie i spostrzegła coś szarego, co zdawało się być przykute do skały, a rwało się i szarpało. Wstawszy zbliżyła się i... osłupiała — poznała sarenkę Leśnej Paprotki, która uplątana w sieć z zielonego jedwabnego sznura, daremnie się szamotała nie mogąc się oswobodzić.

— O biedna sarenko! — zawołała dziewczynka i ty uwięzioną jesteś z mojej winy.

Spróbowała rozerwać sznur, ale był zbyt mocny; księżyc jasno świecił, Halinka widziała smutne oczy sarenki i lśniące nitki sznura.

Gdy się tak wysilała, wypadło coś z jej zanadrza i na ziemi zamigotał sztylecik, który z sobą wzięła.

— Ach zawołała uradowana, król mówił, że ten sztylecik ma czarodziejską własność, może się uda sznurek nim przeciąć.

Spróbowała — srebrnym ostrze z największą łatwością rozciąła sidła; sarenka czując się swobodną zaczęła beczeć radośnie i brykać wesoło.

— Twoja pani jest w królestwie grzybków — rzekła Halinka i znużona wrażeniami całego dnia upadła na ziemię i niebawem zasnęła.

## VII

### N a g r o d a .

Elżbietka wróciwszy z miasteczka, do którego się udała nazajutrz po rozmowie z jastrzębiem, nie zastała już Halinki. Ciekawa i niespokojna pobiegła szukać starej Pokrzywki, ale jej nie znalazła. Wróciła do domu oczekując jakiej wiadomości o skutkach tak zręcznie obmyślonego podstępu — Halinka jednak nie wracała, a dni upływały jednostajnie.

Leśniczowa przestraszona zniknięciem drugiego dziecka, zabroniła jej odchodzić daleko od domu, Elżbietka

niepokoila się, grymasiła i gniewała, bo matka ustawicznie potrzebowała jej pomocy i co dawniej we trzy robiły, teraz musiała robić ona sama.

Wreszcie zniecierpliwiona postanowiła bądź co bądź odszukać kotlinkę paproci i zobaczyć, co się w niej dzieje.

Nie było to jednak łatwem. Elżbietka wymknęła się niespostrzeżenie i długo szukała, tak, że dopiero o zmierzchu znalazła ścieżkę która prowadziła do kotlinki.

— Zobaczę tylko z góry i jeśli są tam jeszcze poziomki zaraz wrócę, myślała. Co się mogło stać ze starą Pokrzywką. Tak mnie zapewniała o swajem przywiązaniu i uwielbieniu dla mnie. Namawiając mnie do wykradzenia sznurka, upewniała przecie, że jeżeli zajmie kotlinkę, to ja tam właściwie będę panią, a ona z radością każdy mój rozkaz wykona. Jeśli ją spotkam, złamię ją, ostro, że mi żadnej wiadomości nie daje o tem, jak się powiodło nasze przedsięwzięcie. Wreszcie doszła do brzegów pagórka i spojrzała. W dole gotowało się, jak w garnku, małe jędze w zielonych śpiczastych czepcach biegaly i szwargotały, nietoperze fruwały w powietrzu. Słychać było pisk i gwar, trawa była podeptana, drzewa pokaleczone, żaden ptak się nie odzywał.

Elżbietka przypomniawszy sobie, jak pięknie i pogodnie tu było, gdy Leśna Paprotka rządziła i gdy śliczne Poziomki-dziewczynki uwijały się między paprocią, uczuła jakby żal, że się to wszystko zmieniło. I gdy te szkaradne, odrażające pokrzywki, dzięki jej, zakwaterowały się tutaj, to cóż się stało z leśną królową i z jej wdzięcznemi poddanemi?

Powodowana więc ciekawością i pewna najlepszego przyjęcia, Elżbietka spuściła się po stoku wzgórza.

Wnet zapiszczały głośniejsze jeszcze nietoperze, a ją opadł tłum małych jędz, pytających opryskliwie po co tu przyszła?

— Chcę się widzieć ze starą Pokrzywką, rzekła wyniosłym i rozkazującym tonem Elżbietka, uprzedźcie ją o tem i powiedźcie, żeby natychmiast tu przyszła.

— Dobrze, zaraz, biegnę, leczę, zapiszczała jędza, podobna do ropuchy; spieszyć się trzeba, bo jaśnie pani chce widzieć Pokrzywkę. Jakaś dama się tu przybłąkała, spełniajcie jej rozkazy.

— Głupie stworzenie, zawołała rozgniewana Elżbietka, nie wiesz do kogo mówisz; powtarzam raz jeszcze idź natychmiast zawołaj starej Pokrzywki.

— Ej moja dameczko, lepiej byś pilnowała swojego kąta, my tu nie bardzo rade jesteśmy nieproszonym gościom, zakrzyczały chórem małe jędze.

— Czego tu jejmość chcesz? Stara Pokrzywka nie słucha rozkazów od takich, jak ty, wynoś się pókiś cała — wykrzyknęła pierwsza.

Nacierając na nią, kolczastemi sukniemi parzyły niezdolnie brzydkie złośnie. Elżbietka przestraszona, nie mogła postąpić ani w tył ani naprzód.

Otoczona ze wszystkich stron, ogłuszona wrzawą chciała się wydostać, ale tyle małych wiedźm wypełzło z różnych stron, że był ich tłum cały.

(d. c. n.)

SZARADA.

*Pierwsze* jest to wykrzyknik, albo wprost litera,  
*Drugie* nazwę jeziora w swem brzmieniu zawiera.  
 Znanym statkiem domowym jest *drugie* i *trzecie*,  
*Wszystko* wraz głośne teraz w politycznym świecie.  
 Jako złączone z wyspą, co kością niezgody  
 Padła, między dwa wregie dla siebie narody.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

ułożył Słoń z Nubii.

a	a	c	c	d	Z rozrzuconych tych liter ułożyć nazwiska czterech głównych dowódców obecnej wojny.
e	e	e	e	e	
h	l	m	n	o	
p	r	r	s	s	
s	v	v	y	y	

REBUSIK.

ułożył Aleksander St.

ar	ar	ar	a	a	a	zy	ym	ym	ym	i	i	i	i
ar	sza	ar	a	le	a	le	ym	brze	ym	gu	i	sły	i
ar	ar	ar	a	a	a	le	ym	ym	ym	i	i	i	i

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26.

Łamigłówniki w trójkącie:

N a p o l e o n  
 A u t y o c h  
 P a n a m a  
 O r z e ł  
 L a m a  
 E r a  
 O b  
 N.

Niteczki Aryadny:

Tak marzy wioska  
 W cichej dolinie —  
 A Matka Boska  
 Co górą górą płynie,  
 Nad schylonemi<sup>1</sup>  
 Dwory i chaty,<sup>2</sup>  
 Wiodąc aniołów<sup>3</sup>  
 Orszak skrzydlaty,<sup>4</sup>  
 Z niebios wysokich<sup>5</sup>  
 Zniża się w locie,  
 I błogosławi  
 Cichej prostocie.

METAGRAMU:

Wróbel, pierwszy tłumacz psalterza Dawidowego w XVI wieku, wróbel, ptaszek.

Skrzynka do listów.

Proście **Wichury** chętnie czynimy zadość, wysyłając zagubiony dodatek, w którym losy Jurasia i Anulki tak są niezmiernie ciekawiają. Upodobanie, jakie Wichura objawia dla wszelkiego rodzaju łamigłówek, możemy tylko pochwalić, gdyż jest to rodzaj zabawy, która rozwija i kształci umysł. Rozwiązanie dobre, łamigłówniki, jeżeli tylko nadadzą się do druku, umieszczone zostaną.

Szkoda, że **Stanisław Z.** nie podał w liście swym adresu, bo dopóki takowego nie otrzymamy, brakującego początku powieści wysłać nie możemy. Podróż Nansena już w paru wydaniach ukazała się w języku polskim. Jedno z nich w dwóch małych tomikach z rycinami, w oprawie, kosztuje bez przesyłki 80 kop.; wychodzi także zeszytami obszernie także również ilustrowane pod tyt.: *Wśród nocy i lodów*. Zeszytów ma być 12; cena każdego 1 rub. 25 kop.

Cieszy nas, że **Manusia C.** mogła jeszcze korzystać z wysłanych wierszyków. Za przeznaczone pieniądze dla ubogich, w imieniu tychże dziękujemy, nadmieniając, że chętnie znów odbierzemy równie jak ten starannie, napisany liścik.

**Zosi W.** Zaginiony prawdopodobnie na poczcie numer *Wieczorów* wysłany zostanie.

**Halinie Tom.** Pojedyncze tomy z całkowitego wydawnictwa utworów Klementyny z Tańskich Hofmanowej, niechętnie w księgarniach sprzedają. Więc tylko wyjątkowo moglibyśmy dostać takowe. Cena jednego tomu wynosi 1 rub. bez przesyłki.

Z nadesłanych pieniędzy zapisaliśmy już 1 rub. 25 kop. na przyszłoroczną opłatę, jak sobie tego życzy **Aleksander W.** Łamigłówniki przejrzymy, łącząc tymczasem miłe pozdrowienia.

**Szpakowi z nad Worskły.** Jaskółka za swym powrotem odpisze, donosząc coś o wspomnianych markach pocz.

**Stefci K.** Jaskółce pobyt na wsi bardzo jest przyjemny. Pewni jesteśmy, że gdyby Stefcia raz spróbowała choć jeden list bez pomocy sama napisać, jużby następne nie wydały się jej tak trudnymi.

Jaskółka ucieszy się niezawodnie miłemu liścikowi **Zuzuli**, której szeroki program naukowy, w niedalekiej już przyszłości podoba nam się bardzo, wnosimy z tego bowiem, że wielkie musi może **Zuzula** zamiłowanie do pracy umysłowej. Nie wątpimy też, iż raz zawiązana znajomość z redakcją, utrzyma się dłużej, wspierana częstą wymianą listów. Tymczasem zasyłamy tak jej jak **Dzwonkowi leśnemu** serdeczne pozdrowienia, w nadziei, że i on przedstawi się nam wkrótce.

List **Wisienki** ładnie i z widocznym staraniem napisany, odczytaliśmy z przyjemnością i prawie pewni jesteśmy, że też owa robotka, do której **Wisienka** śpieszyła, jest równie miłą dla oka. Powiastka o „**Królowej poziomek i paproci**” nie koniecznie tylko małym dzieciom podobać się może, gdyż i starsi, jak to wiemy z korespondencji, z przyjemnością ją czytają. Dla wysłania nagrody prosimy o adres

Liczne łamigłówniki i szarady nadesłali: **Konwalia, Janek i Zochna, Giermek, Orzeł karpacki, Stefan L. Józio W. i Marysieńka.** Dobre zaś rozwiązania dali: **Zenio, Rusałka, Giermek, Józio W. i Orzeł karpacki.**

